

Dzieci w II wojnie światowej

Abstrakt

Historia II wojny światowej będzie postrzegana poprzez dzienniki/wspomnienia dzieci z Rosji, Białorusi, Ukrainy, Polski i Niemiec. Pracując w małych grupach, uczniowie nauczą się jak należy czytać relacje osobiste, oceniać poszczególne aspekty codziennego życia autora/ki oraz porównywać życie codzienne w różnych krajach. Układając opowiadanie o kimś w ich własnym wieku, biorąc udział w dyskusji i dokonując porównań z własną codziennością, uczniowie będą mogli lepiej zrozumieć i poczuć przeszłość. Praca z dziennikami/wspomnieniami pomoże im zrozumieć, jak wojna zmieniła życie codzienne dzieci.

Cel ogólny

Poznać zmiany w życiu codziennym dzieci podczas II wojny światowej.

Cele szczegółowe

- 1 Zastanowić się nad stwierdzeniem, że wojna to nie tylko bohaterskie czyny, ale także walka o przetrwanie. To czas, gdy życie ludzi ulega zmianie niezależnie od ich wieku, miejsca zamieszkania czy statusu społecznego.
- 2 Poczucie się jak badacz życia codziennego.
- 3 Porównać życie codzienne w czasie wojny w różnych krajach: w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (republiki: ukraińska, białoruska i rosyjska), w Polsce i w Niemczech.
- 4 Nauczyć uczniów szukania informacji (wykorzystywania umiejętności analitycznych, identyfikowania najważniejszych informacji, dokonywania analizy krytycznej) w źródle historycznym.

Metody

Praca ze źródłem, tworzenie opowiadania, dyskusja, analiza i porównanie, praca z mapą.

Wyposażenie

Materiały drukowane (fragmenty ośmiu dzienników/wspomnień, pytania), rzutnik multimedialny (wskazany), urządzenia z dostępem do internetu (telefony uczniów).

Autorzy dzienników

Anatolij Listopadow Urodzony w 1929 roku, mieszkał w Bachmaczu, rejon czernihowski, Ukraina SRR.

Ludmiła Leblan Urodzona w roku 1926, mieszkała w Bieżyicy w rejonie briańskim, Rosyjska FSRR.

Wiktor Czernyj Urodzony w roku 1928, mieszkał we wsi Mohylnoje, rejon borysowski, obwód miński, Białoruska SRR.

Nikołaj Borowski Urodzony w roku 1927 w Gródku Ostrożyckim, obwód miński, Białoruska SRR.

Ursula Brecht (z domu Lindemann) Urodzona w roku 1928 w Kolonii w Niemczech

Gerda Altpeter (z domu Rappaport) Urodzona w roku 1926 w Essen, mieście w Zagłębiu Ruhry w dzisiejszym kraju Północna Nadrenia-Westfalia w Niemczech.

Stanisław R. Urodzony w roku 1927 w powiecie wołkowyskim, województwo białostockie, Polska.

Teresa Sosnowska W czasie wojny polsko-niemieckiej mieszkała na Zabużu w Sokalu.

Klaus Schlimm Urodzony 16 lipca 1929 roku w Magdeburgu, przeprowadził się do Essen w Niemczech.



Zadanie domowe przed lekcją

Powtórzyć z podręcznika historię II wojny światowej.

Kolejność i czas trwania zadań

Wstęp	Praca w grupach	Prezentacja wyników pracy grup	Dyskusja i wnioski
11 minut	22 minuty	37 minut	20 minut

Konspekt szczegółowy lekcji

Wstęp

8 minut

Wprowadzenie przez nauczyciela.

Nauczyciel odświeża wiedzę uczniów o historii II wojny światowej.

- Kiedy zaczęła się wojna dla różnych krajów (Niemiec, Polski, ZSRR)?
- Które walki rozpoczęły wojnę?
- Nauczyciel pokazuje na mapie przesuwanie się frontu i pyta uczniów o najważniejsze bitwy.
- Jak długo trwała wojna i kiedy się zakończyła?

Następnie nauczyciel omawia termin *życie codzienne*. Życie codzienne jest ściśle powiązane z cyklem powtarzających się działań i wydarzeń. Wykonując rutynowo czynności życia codziennego, osoba nadaje każdej z nich pewne znaczenie. Możemy określić cztery podstawowe elementy życia codziennego:

po pierwsze – działania społeczne, codzienne lub świąteczne, polityczne lub związane z pracą;

po drugie – przedmioty niezbędne do wykonywania tych działań;

po trzecie – przestrzeń, w której osoba wykonuje te działania;

po czwarte – znaczenie tych działań, które pomagają dokonać rozróżnienia pomiędzy dobrem a złem¹.

Przykład: lekcje historii dwa razy w tygodniu. Przedmioty: podręcznik, długopis, zeszyt; przestrzeń: klasa w szkole; cel: by uczeń poznał przeszłość i otrzymał ocenę za swoją pracę.

3 minuty

W zależności od liczebności klasy dzieli uczniów na maksymalnie osiem grup, których zadaniem będzie przygotowanie prezentacji o życiu dzieci podczas II wojny światowej. Nauczyciel wyjaśnia zadanie stojące przed każdym zespołem.

¹ Leibovich O.L. The Three-Storey House, or How to Study the Everyday Life of the Late Stalinist Era. Readings from Astafiev: The time of The Merry Soldier: Values of Post-war Society and their Understanding in Modern Russia: Material from the 2009 Perm scientific conference, pp. 250–274.



Część 1

Praca w grupach

22 minuty

Uczniowie pracują w grupach z dziennikami/wspomnieniami. Przygotowują prezentację o dziecku, które napisało dany dziennik/wspomnienia.

Część 2

Prezentacja wyników pracy grup

37 minut

Każda z grup po kolei prezentuje jedno dziecko (każda z grup ma 4 minuty). Prezentacja zawiera odpowiedzi na pytania (poniżej) o życie codzienne danego dziecka.

Praca grupy z dziennikiem/wspomnieniami i biografią obejmuje:

- 1 Praca ze źródłem, zaznaczanie markerem fragmentów odnoszących się do pytań i robienie notatek na marginesach.
- 2 Praca z mapą: zaznaczanie, gdzie mieszkało dziecko na początku działań zbrojnych i jego przemieszczanie się podczas wojny.
- 3 Sporządzenie opisu miasta / miejscowości / wsi, w której mieszkało dziecko (używając informacji z internetu).

Pytania

- 1 Jak nazywa się dziecko, ile miało lat na początku wojny?
- 2 Gdzie mieszkało dziecko przed wojną – w mieście, miasteczku, wiosce? W jakim kraju? Znajdźcie to miejsce na mapie (możecie korzystać z własnych urządzeń). Znajdźcie w internecie opis tego miejsca: czy to duża, czy mała miejscowość? Z czego jest znana? (np. z przemysłu?, z rolnictwa?)
- 3 Jak odległe było to miejsce od linii frontu?
- 4 W jaki sposób dziecko dowiedziało się o wybuchu wojny?
- 5 Co zmieniło się w jego życiu po wybuchu wojny?
- 6 Co robiło dziecko podczas wojny? W jaki sposób pomagało swojej rodzinie lub przyjaciołom?
- 7 Z czym miało kłopoty?
- 8 Jaka część przedwojennego życia dziecka pozostała niezmienną w czasie wojny?
- 9 Znajdźcie w tekście nieznaną, kolokwialną lub fachową słowa i odszukajcie ich znaczenie w internecie.

Część 3

Dyskusja i wnioski

15 minut

Dyskusja. Nauczyciel moderuje dyskusję, zadając pytania i wyjaśniając szczegóły.

Pytania do dyskusji:

- Czym różniło się życie codzienne dzieci w czasie wojny od życia przed wojną?
- Jakie były różnice w życiu codziennym w różnych krajach?
- Kiedy dziecko musiało dokonać trudnego wyboru? Czy mogło postąpić inaczej?
- Dlaczego dzieci opisują straszne wydarzenia w tak spokojny sposób?
- Co wywarło na Tobie największe wrażenie w dziennikach/wspomnieniach? Dlaczego?

5 minut

Wnioski. Krótkie podsumowanie lekcji przez nauczyciela.



Anatolij Listopadow

Urodzony w roku 1929, mieszkał w Bachmaczu, obwód czernihowski, Ukraina. Anatolij prowadził dziennik w czasie niemieckiej okupacji jego rodzinnych stron.

1941

- 22 czerwca** WOJNA. W południe przemówienie Mołotowa. W połowie przemówienia ogłoszono alarm. Milicja zamknęła sklepy. Biegałem jak szalony z chłopakami. Wieczorem zaczęliśmy kopać rowy przeciwlotnicze. Instruktorzy krążyli, każąc wszystkim kopać. Kobiety są złe, mówią: „Kopimy sobie groby. Lepiej siedzieć w domach, gdy padają bomby”. Anna Konstantynowna płakała. W nocy były dwa alarmy. Pietro Samostianowicz mówi, że wielu ludzi w tej wojnie zginie. Nie mogę w to uwierzyć.
- 23 czerwca** Całą noc krążyli konni postawcy z komendy uzupełnień, rozwożąc powołania do Armii Czerwonej. W nocy rozległ się alarm. W radiu mówili: „Towarzysze, w stronę Bachmacza kierują się formacje niemieckich bombowców”. Powtórzyli to trzy razy. Przestraszyli nas. W ciągu dnia było kilka alarmów. Za każdym razem sanitariuszki ubrane w spodnie biegały jak szalone do swych punktów zbiórki. Cudownie! Pietro Samostianowicz mówi: „Dlaczego biegacie jak szalone? Rzucą jedną bombę, i pospadają wam spodnie”. Kobiety gniewają się i pyskują mu. W tym roku jest wiele jabłek. Pływamy, kąpiemy się i w pełni cieszymy się wakacjami. Lata coraz więcej samolotów. Nasi pracują nieustannie.
- 3 lipca** Dziś słuchaliśmy przemówienia Stalina. Przedszkolanki płakały. Przybywa wielu uchodźców. Syrena alarmowa wciąż się włącza. Śmieszy nas widok uchodźców biegających wokół po alarmie. Śmiejemy się, a oni mówią nam, że jeszcze nas nie bombardowali, więc nam do śmiechu.
- 14 lipca** Zapamiętam ten dzień. O 16 miał miejsce nalot na Bachmacz. Trwał dwie godziny i 40 minut. No to było coś strasznego! Wraciałem z biblioteki. Byłem w połowie drogi do domu, gdy nad miastem pojawiły się samoloty. Potem zrobiło się głośno! Rzuciło mnie na płot i wpadłem w błoto. Niedawno trochę padało. Leżałem tam, a z przerażenia serce chciało wyskoczyć mi z piersi. Samoloty warczały nad głową, grzechotały karabiny maszynowe, gwizdały kule. Przelecieli nad miastem i zawrócili z powrotem. Wstałem, prosząc Boga, bym nadal miał nogi. Uciekłem do przedszkola. Tam ugotowali dla dzieci jedzenie. Talerze rozłożyli na stołach pod jabłonkami. Nagle znów ten piekielny hałas! Talerze zaczęły spadać ze stołów. Przynajmniej jeden upadł płasko i roztrzaskał się na kawałki. Wskoczyłem do na wpół wykopanego rowu przeciwlotniczego i położyłem się na dnie. Rozejrzałem się – był on pełen pielęgniarek i sanitariuszek. Pietro Samostianowicz nie mylił się: wyglądało na to, że zapomniały założyć swoje kombinezony. Jedna leżała, zatykając palcami uszy, z szeroko otwartymi ustami. Po to, by nie ogłuchnąć. Rzuciła wokół przerażonym wzrokiem. Gdyby to nie było takie straszne, chyba pękłbym ze śmiechu. Potem bomby zaczęły wybuchać tuż obok. Powietrze parzyło. Czołgałem się przez kartofle do ziemnego schronu, gdzie doczekałem końca bombardowania. Ściany drżały. Z sufitu sypał się piasek. Ciśnienie pozbawiało nas tchu. Gdy wyszliśmy, było ciemno jak wieczorem. Dymy zasłaniały słońce. Płonęła stodoła. Na dworcu kijowskim wybuchały po kolei pociski artyleryjskie, bomby i naboje. Ze zbiorników benzyny unosiły się w niebo słupy ognia. Zabitych znoszono do ogrodu przychodni. Podjeżdżała ciężarówka, zwłoki wrzucano na



kupę, na nie słomę, po czym jechali po następne. Znoszono też rannych. Wielu ludzi poważnie ucierpiało. Nikt nie umiał się kryć. Wszyscy wybiegli z pracy i pospieszyli do domu, do dzieci. A faszyci – bestie! – schodzili nisko i zasypali ich ogniem z karabinów maszynowych. W schronie było wielu ludzi, a ja siedziałem wygięty w łuk, plecy oparte na jednej ścianie, nogi na drugiej. Wczoraj zwołano naszą drużynę i ułożono plan, ale przekłete bombardowanie rozproszyło nas na cztery wiatry.

29 lipca

Byłem w mieście. Nasza trójka siedziała na wiśniach, gdy zaczęły gwizdać bomby. Niemcy nadlecieli tak, że nawet ich nie usłyszeliśmy. Zeskoczyliśmy z drzew i leżeliśmy plackiem. Co za hałas w ogrodzie! Właścicielka wyskoczyła z domu, zobaczyła nas i zaczęła gonić.

Żenia i ja przeskoczyliśmy przez płot, Taras jednak zahaczył się nogawką spodni. Dopadła go, rzecz jasna – i walnęła kijem przez plecy. On się wyrwał i rozdarł nogawkę aż do pasa. Uciekliśmy na bagno, gdzie w końcu zaczęliśmy się śmiać. Niemcy zrzucili cztery bomby. Dwie wybuchły, dwie nie. Jedyne straty to dwa knury.

Ludzie stopniowo wracają do miasta. Nasza drużyna zaczyna się rozpadać; ludzie wyjeżdżają. Zostało nas dziewiętnastu i pracujemy bez przerwy. W mieście jest strasznie ale też wesoło. Nocuję w mieście, w przedszkolu, z Pietrem Samostianowiczem. Czasem wpadają chłopaki. Jest wiele jabłek, ale nie ma komu ich zrywać.

10 sierpnia

W mieście spokój. Nie byłem tam od kilku dni. Mieliśmy sianokosy. Dobrze jest być w polu! Poszliśmy do lasu na grzyby. We wsi stacjonuje batalion. Często jesteśmy z nimi. Wesoło być z Armią Czerwoną!

4 września

We wsi jest wielu żołnierzy Armii Czerwonej. Majątek kołchozu jest rozdzielany pomiędzy kołchozników. Pani przyniosła kurczaki, miód i jabłka, przypędziła też dorodną świnię. Teraz mieszkam prawie cały czas z żołnierzami. I z nimi jadam.

7 września

Zabrałem krowę pani na pastwisko. Zabrałem też całą czapkę śliwek. Wojsko maszeruje drogą z Baturina, mają czołgi i działa. Nad Baturinem widać dym i słychać stamtąd wybuchy. Zaczęli rozstawiać działa na skraju wsi. Poszliśmy do artylerzystów. Dali nam gryki, my zaś daliśmy im śliwek, jabłek i gruszek. Wspaniałe chłopaki! We wsi jest wielu żołnierzy, zapchali wszystkie sady sprzętem. Pod wieczór przeleciały dwa heinkle. Przeleciały nad wioską, zasypały ją kulami i odleciały. Przeczekaliśmy w rowie.

10 września

Niemcy minują drogi. Ściągają pługi, brony i wozy do robienia barykad. O 10 zaczęli ostrzeliwać miasto. Poszliśmy do starego mieszkania, po czym nie mogliśmy wrócić. Niemcy zaminowali drogę. Do pani na podwórzu podjechały cztery samochody. Niemcy zaczęli wyłapywać kury. Zabrali mleko. Wisiał tam warkocz cebuli, pozrywali wszystkie do swej kuchni. Strząsnęli wszystkie gruszki z drzew. Krążyli jak wilki. Pani prawie zginęła za próbę powstrzymania ich przed niszczeniem drzew owocowych.



- 26 października** Dziś Niemcy ukradli nam patelnię. Kolej nie działa. Zmusili ludzi do pracy przy naprawie mostu. Zorganizowano biuro pracy. Wszyscy w wieku od 14 do 60 lat musieli się tam zarejestrować pod rygorem rozstrzelania. Nie zamierzam się zarejestrować nawet jak skończę 14 lat. Każdy, kto się zarejestrował, musi pracować pół miesiąca dla Niemców, resztę mają wolną. Za to dostają miesięcznie trzy kilo jęczmienia. Biurem kieruje ojciec Walerego Kriczenki. Biliśmy się z Walerym. On nazywa nas partyzantami, my jego niemieckim parobkiem. On mówi: „Powiem tacie”, a my go bijemy. Jego ojciec poskarżył się Annie Konstantynownej, a ona trochę mnie zbeształa. Cóż, niech będzie. Niemcy powyrzucali z domów państwowych wszystkich mieszkańców i sami tam mieszkają.
- 26 listopada** Zaopatrzenie w żywność jest złe. Nie ma co jeść. Anna Konstantynowna wymienia ubrania za żywność. Z opałem też marnie, ale zdobyłem nieco za łom. Niemcy mówią, że już walczą w Moskwie. Kłamią, ścierwa! Sklepy są pozamykane. W nocy ktoś strzelił trzy razy do węgierskiego oficera i dwóch żołnierzy. Szkoda, że nie trafił. W zemście wzięli pięćdziesiąt naszych mieszkańców i ich rozstrzelali.
- 1942**
- 13 stycznia** Dziś, gdy przynosiłem węgiel, dopadł mnie „szalony” żandarm. Zabrał mnie na posterunek, gdzie mnie mocno zbili. Ledwie wyszedłem z życiem. Zaczęliśmy kraść węgiel z pociągów i sprzedawać go – 100 rubli za kilka kilo. Zarobiłem parę groszy, co pomaga nam zwalczyć głód. Gdyby nas złapali, zastrzeliliby.
- Cóż. Iwana Matwiejewicza wezwali do pracy na stacji. Dopiero co się wydostał. Udał, że jest chory. On robi w domu tarki i sprzedaje. Robi je z puszek – na stacji jest ich mnóstwo.
- 18 stycznia** Dziś skończyłem 14 lat. Powinienem zapisać się w biurze pracy, ale nie zamierzam. Będzie co ma być. Nie mam najmniejszej ochoty naprawiać dla nich drogi.
- 2 kwietnia** Niedługo zaczniemy sadzić ziemniaki. Niemcy powiedzieli, że każda krowa musi dać rocznie 800 litrów mleka. Często robią naloty na sklepy. Udają, że łapią złodziei, ale tak naprawdę sami kradną. Biorą mleko, masło, słoninę, jajka itd. Dzisiaj jeden Niemiec zmusił mnie do przeniesienia jego rzeczy z Dworca Głównego na Homelski. Odmówiłem, ale zaczął mnie bić, więc musiałem.
- 10 października** Musiałem pójść do pracy. Pracuję jako goniec w okręgowym ośrodku zdrowia. Nie dla Niemców, więc choć tyle. Za oknami jest niemieckie więzienie. W ogrodzie gestapowcy. Wykopane przez nas rowy przeciwlotnicze wypełnili ludźmi, których rozstrzelali. Drugiego [października], wcześniej rano, Fryce zapędzili grupę partyzantów w białiznie do ostatniego rowu i wrzucili do niego granat. Nie zabili wszystkich; ocalali rozbiegli się we wszystkie strony i poukrywali w mieście. Chowali się w szopach, w piwnicach, gdzie mogli. Niemcy przetrząsali miasto przez dwie godziny i zabijali na miejscu każdego, kogo znaleźli. W całym mieście słychać było krzyki i strzały, słyszeliśmy je nawet w naszym ośrodku. Oczywiście nie zabili wszystkich i wydaje się, że wielu ocalało.



1944

- 7 stycznia** Dostałem wiadomość od mojej mamy, ale nie dadzą mi przepustki. Założyliśmy sklep. Mamy wszystko. Drobiazgi – ołówki, pióra, igły itp. Wojsko dostaje to wszystko i nie musi płacić. Chodzę w mundurze i dają mi wszystko tak, jakbym był wojskowym. Po cenach państwowych.
- 24 lutego** Od dziewięciu już dni mieszkam z moją mamą w Arazmasie, na ulicy Wołodarskiej, jednak myślimy o przeprowadzce. Za tłoczno w tym mieszkaniu. Nie znam nikogo i nigdzie jeszcze nie pracuję. Chodzę sam po mieście i wszystko oglądam. Miasto jest stare i kiedyś było w nim wiele cerkwi. Mama mówi, że 36. Miasto jest nudne i bardzo mi się nie podoba. Nie wiem, co się dalej stanie. Poszedłem do kina. Tu nadal są mrozy. Gospodyni nie rozumie dobrze, co do niej mówię, a ja nie rozumiem jej. Wynik jest wspaniały.
- 24 marca** Poszedłem do Wydziału Kolejowego nr 5. Zostałem przyjęty. Zaczynam 1 kwietnia. Śnieg zaczyna się topić. Wieczorem poszedłem z Żenią do kina.
- Nie mogę po prostu przywyknąć do tego, że jest tu tak spokojnie. To prawda, na niebie jest sporo samolotów i z nawyku patrzę w górę, czyje to.

1945

- 9 maja** Wyjątkowy dzień. Dziś o 4.00 ogłoszono w radiu, że Niemcy podpisali akt kapitulacji. KONIEC WOJNY



Ludmiła Leblan

Urodzona 4 maja 1926 roku, mieszkała w Bieżyicy w obwodzie briańskim w Rosji Radzieckiej.

Ludmiła urodziła się w mieście Bieżyca 4 maja 1926 roku. Była córką Wiktora Aleksiejewicza i Marii Pietrowny Leblan. Jej ojciec był murarzem, matka zaś nauczycielką. Żyli skromnie z babcią w starym drewnianym domu na końcu ulicy Saratowskiej. Ludmiła dobrze się uczyła. Po wojnie ukończyła studia z wyróżnieniem. Przez długi czas pracowała w briańskiej fabryce samochodów, kierując w niej laboratorium.

Swój wojenny dziennik zaczęła prowadzić 22 czerwca 1941 roku, ostatniego wpisu zaś dokonała 4 stycznia 1949 roku.

Na początku wojny Ludmiła Leblan miała 15 lat. Bieżyca została wyzwolona 17 września 1943 roku.

1941

22 czerwca 4 rano. Ogłoszono wojnę.

Całkiem niespodziewanie dzisiaj, a raczej dopiero co, w nocy, Ojciec wrócił z Litwy. Nie posiadałam się z radości; jego przybycie było wybawieniem, ponieważ gdy przyjechał, wyschły moje łzy. Wcześniej towarzyszyły mi każdego dnia.

Cały czas w złym humorze. Tym gorszym, że wszyscy są przygnębieni, a gdziekolwiek spojrzeć łzy, wszędzie łzy.

Jestem bardzo niezadowolona z tego, że nikt w mojej rodzinie nie widzi, jak mają się sprawy. Postrzegają je zupełnie źle. Albo nie doceniam w pełni koszmarów wojny, albo nerwy mojej matki są w okropnym stanie. Bardzo trudno mi widzieć ją płaczącą od najdrobniejszych rzeczy, dobrych czy złych.

12 listopada (Godzina 11). Popelniałam okropną zbrodnię – odłamałam koronkę mojego zegarka. W czasie pokoju nie byłaby to zbrodnia, ale teraz... Gdzie teraz znajdę zegarmistrza? A zegarek był przydatny. Mogłabym zamienić go na przykład na chleb.

1942

26 stycznia ... Ludzie w mieście są teraz naprawdę głodni. Chodzą po wioskach, próbując zdobyć coś jadalnego.

19 kwietnia Wreszcie nadeszła wiosna. Sądziliśmy, że w tym roku nie będzie powodzi, albo że będą mniejsze niż zwykle, jednak wysoka woda nadeszła jak zawsze – woda nie interesowała się, czy trwa wojna. Słońce praży mocno, ptaki śpiewają, woda jest jak lustro. Tak cudownie jest siedzieć na słońcu, odrywając się od ponurych myśli o wojnie i dając się pochłonać naturze!

15 czerwca Od piątego pracuję jako wagowa. W pracy jest trochę weselej. Teraz nie ma tu niemal nic do roboty. Od dawna nie widzieliśmy tu Niemców, ale teraz ustawiono kuchnię polową, a żołnierze rozmieścili się po pustych domach. U nas jeszcze nikogo nie zakwaterowali.



1943

- 28 kwietnia** Dziś mój ostatni dzień pracy w sklepie z moim wspaniałymi koleżankami. Od jutra przenoszę się do urzędu meldunkowego. Pewnie będę pracowała jako sekretarka. Wreszcie pojawiła się jakaś praca biurowa. Czy wygrałam szczęśliwy los? Nie wiem jeszcze.
- 5 maja** Wczoraj skończyłam 17 lat. Czytając ponownie moje zapiski, myślę sobie: jak wielka różnica między tym a poprzednim rokiem. Rok temu miałam tyle wolnego czasu, że nie wiedziałam, co z nim począć, i to było całkiem trudne. W tym roku nie zauważam, jak mija czas. To prawda, S. mi pomaga. Nawet się na niego nieco gniewam. Jednak mój gniew mija tak szybko, jak przychodzi. Nie sposób się na niego naprawdę gniewać – to taki prosty, słodki chłopak. Nie wiem, co się wydarzy; jak dotąd nic. Dziś mieliśmy ważną rozmowę i skończyliśmy ją, całkowicie różniąc się w poglądach. Może przemyśli to i przyzna mi rację?
- 27 lipca** Słyszę huk dział. Ludzie zostali ewakuowani z Orła i przybywają tutaj.
- [Wszyscy] troszkę zapomnieli, jak to jest na froncie, bo dawno się odsunął. Wciąż mieliśmy sporadyczne naloty – w pewnym czasie stały się nawet dość częste. Niezależnie jednak od tego, jak straszne są naloty, gdy myśli się o froncie, to jest jeszcze straszniejsze. Cóż, mieliśmy dość wrażeń w roku 1941 – Boże miej litość! – i może nie będziemy musieli znów tego doświadczać.
- 6 sierpnia** Bomby spadają trzecią noc z rzędu. Gdzie jest teraz ojciec? Nie wiemy nic, nawet tego, czy żyje. Ani jak szybko skończy się wojna. Jesteśmy do niej obrzydliwie przyzwyczajeni: życie nie jest w ogóle ciekawe, jest po prostu egzystencją, i nie ma znaczenia, czy umrze się teraz, czy trochę później. Szkoda, że tak mijają mi złote lata młodości. Są ludzie, którzy nadal się cieszą, jak jednak można cieszyć się, gdy przelewa się tyle krwi? Moim zdaniem teraz bawić się to zbrodnia. Jak nieczuli i twardzi stali się ludzie, którzy tak nie uważają i mówią: „Wojna? A co mi tam!”.
- 18 sierpnia** Nasi mężczyźni poszli do pracy poza Briańsk. Wczoraj zakwaterowano u nas Niemców. Mamy kapitana z ordynansem i szoferem.
- 31 sierpnia** W niedzielę byłam w parku. Poszłabym do kina, ale projektory już zabrano, postanowiliśmy więc spędzić wieczór w parku. Był koncert, ale nikt nie słuchał; spędziliśmy cały czas na rozmowach. Najciekawszy byli żołnierze. W parku nie było nikogo z inteligencji, tylko mieszkańcy przedmieść. Żadna z dziewcząt nie miała zwykłej fryzury – wszystkie wyfiokowane, wyszminekowane, umalowane.
- Dziś rano przyszli Niemcy z uchodźcami. Kopiały rowy przez cały ogród. Wszystkie płoty w naszej dzielnicy rozebrano. Właśnie rozbierają nasz płot i wrywają krzewy malin.
- Po mieście krążą różne plotki, każda inna. Nic, co ludzie mówią lub robią, nie wyjaśnia sytuacji.



11 września Stało się to, czego baliśmy się najbardziej. Nie było jeszcze szóstej rano, gdy przybył żandarm i kazał nam być gotowymi za pięć minut. Wypędzili wszystkich, nawet chorych. Kazali nam udać się nad Desnę.

To prawdziwy eksodus. Ludzie idą i jadą na taczkach, w wózkach i na wozach. Kozły, cielaki i źrebaki ciągną te rachityczne pojazdy. Niektórzy dosiedli krów; tylko kilka osób jest konno. Niemcy popędzają nas nieustannie, podpalając ciasne zabudowania, by upewnić się, że nikt nie został.

Naszą drogę przerwano po raz pierwszy na ulicy Krachtowskiej, gdy odłamał się uchwyt po jednej stronie naszego wozu. Przywiązaliśmy go i ruszyliśmy dalej. Musieliśmy naprawiać wóz jeszcze kilka razy. Wpierw jechaliśmy z sąsiadami i lokatorami, potem jednak zaczęli zostawać z tyłu ze swymi gratami i ostatecznie straciliśmy wszystkich towarzyszy podróży.

Gdy mijaliśmy skrzyżowanie w mieście, chcieliśmy stanąć na noc. Zostaliśmy tam dwie godziny, po czym Niemcy popędzili nas, mimo że było już ciemno. Zatrzymaliśmy się nieco dalej, a potem wraz z dwoma innymi rodzinami odjechaliśmy trochę od drogi i stanęliśmy na noc. Ugotowaliśmy ziemniaki, po czym przynieśliśmy słomy i zasnęliśmy pod gołym niebem pierwszy raz w trakcie naszego marszu. Pogoda jest wciąż dobra, księżyc świeci, a ziemia trzęsie się od wystrzałów. Całą noc aż do świtu trwała bitwa w rejonie Briańska i Czajkowicz. Nad ranem na niebie przy horyzoncie widać było łunę, a działa ucichły. Był silny mróz, rano całkiem zimno. Tak oto spędziliśmy pierwszą noc naszego marszu.

17 września Popołudnie. Nasza droga dobiegła końca.



Wiktor Czernyj

Urodzony w roku 1928, mieszkał we wsi Mogilnoje, rejon borysowski, obwód miński, Białoruska SRR.

Przed wojną

Życie było ciężkie. Nie mieliśmy rodziców. w roku 1941 Niemcy zastrzelili mojego ojca. Nie mieliśmy matki. Nasza trójka żyła razem. Skończyłem tylko cztery klasy. Miałem 12 lat.

Wojna

Zostaliśmy sami. Byliśmy dziećmi, tylko dziećmi. Nie byłem tego dnia w domu. Niemcy wówczas od dawna już prześladowali Żydów. Jesienią 1941 roku do naszego domu przyszła Maria ze swą małą córeczką. Jej dwaj synowie zostali zastrzeleni w Borysowie. Maria ukrywała się w lesie. Powiedzieli nam: „Uciekamy ze Smoleńska, ograbili nas ze wszystkiego”. Miały tylko to, w czym wyszły, nic więcej. Nie miały niczego więcej. Przybyły i powiedziały: „Zamieszkamy z wami”. Moja siostra powiedziała „Dobrze”. Więc wróciłem do domu – byłem w pracy (orałem naszą ziemię – Niemcy dali nam w czasie wojny sześć hektarów, ponieważ byliśmy sierotami. Inni brali po dziesięć, inni po osiem. Nie potrzebowaliśmy aż tyle. Sześć to było dla nas dużo). Więc wróciłem do domu, a moja siostra mówi „Mamy gościa”. Cóż, pomyślałem, przeżyjemy. Jest jak jest. Byliśmy sierotami. Maria była dorosła, urodziła się w 1909 roku, była już starą kobietą. Jej córka była mała i nie знаła naszego języka. Mogła mieć cztery latka, może więcej. Mogła jednak chodzić, tak jak chodzą dzieci. Moja siostra przed wojną skończyła dwie klasy. Były małe, ale chodziły prosto.

Nie spałem w domu w czasie wojny. Kładłem się w stodole. Zrobiłem tam sobie takie gniazdo. No spałem tam, a Maria zachowywała się, jakby była głucha. Ludzie zaczęli jej przynosić rzeczy, by dziergała im swetry, skarpety, rękawice. Cóż, mówili: „Ze Smoleńska, uciekiniarka”. Wszyscy uważaliśmy ją za uciekinierkę ze Smoleńska.

Po wojnie

Dożyliśmy wielkiego zwycięstwa. Gdy córka Marii wyszła za mąż, wyjechali do Izraela. Pojechali i tam ich dobrze przyjęto. Stara Maria nie chciała jechać, ale dzieci powiedziały jej: „Potrzebujemy cię”, ponieważ mieli tam już własne dzieci. Potrzebowali więc niańki. Tak więc Maria pojechała do Izraela. Powiedziała im, że przybyła z Białorusi, a Białoruś była w czasie wojny okupowana, i zaczęli mówić o moich siostrach i o mnie. Moja siostra powiedziała mi potem: „Witia, choć do muzeum, dostaniemy nagrodę”. Nie rozumiałem. Pytałem: „Co? Kto?”. Ona mówiła: „Ratowaliśmy Żydów, dadzą nam nagrodę”.

W roku 1997 Wiktor Czernyj został odznaczony medalem „Sprawiedliwy wśród narodów świata”.



Życie przed wojną

Ojciec Nikołaja zmarł, gdy Nikołaj był jeszcze mały, i chłopiec dorastał samodzielnie i ciężko pracował. Było mu żal matki i pomagał jej, jak tylko umiał. Przed wojną Nikołaj ukończył sześć klas gimnazjum w Gródku Ostrożyckim.

Wojna

Zaczęła się wojna. W przeddzień przybycia Niemców wicedyrektor Kirył Iwanowicz Szestakow powiedział nauczycielom, członkom Komsomołu i pionierom, by przyszli wieczorem i zakopali w ogrodzie najcenniejszy majątek szkoły: wyposażenie, podręczniki, książki. Nazajutrz szkołę zajęli Niemcy i zabrali wszystkie pozostałe podręczniki, mapy, książki i dokumenty, wyrzucili je na kwietnik i podpalili. Okropny stos wzbudził wiele gniewu. Szkoła została zamknięta; urządzono w niej siedzibę komendanta.

Szybko powstała podziemna organizacja szkolna. Niemal wszyscy członkowie kółka literackiego i dramatycznego zostali członkami podziemia, także Kola Borowski. Choć wówczas z nich najmłodszy, był pomysłowy i dzielny, i wypełniał swoje zadania dobrze i odpowiedzialnie. Silny fizycznie Nikołaj był doskonałym pływakiem, szybko biegał i potrafił przemknąć się bezszelestnie koło niemieckiego żołnierza. Kola stał się niezastąpiony w zdobywaniu informacji. Dostał pracę jako pomocnik owczarza, potem przy budowie dróg i dzięki temu dowiadywał się, co działo się w Gródku Ostrożyckim i przekazywał informacje podziemiu. Szkolne podziemie miasta było niezwykle przydatne dla partyzantów, dostarczając niezbędnych informacji i posyłając do lasu leki, ubrania i żywność. Kola Borowski i jego nastoletni koledzy gromadzili i ukrywali broń dla partyzantów oraz roznosili ulotki. Nikołaj wypełnił wiele ważnych zadań, niejednokrotnie ryzykując życiem, wykazując się wytrzymałością i pomysłowością.

Pewnego razu z dwoma starszymi kolegami pracującymi jako kierowcy w wydziale drogowym Kola Borowski porwał niemiecki samochód z bronią i pojechał nim prosto do lasu. W ten sposób został partyzantem w oddziale woroszyłowskim brygady im. Frunzego. Nikołaj rozpoczął nowe, wojskowe życie. wypełniał zadania, w tym uczestniczył w rozgromieniu niemieckiego garnizonu. Borowski miał świetną opinię w oddziale: był odważnym i niezawodnym zwiadowcą.

Latem 1943 roku nadeszła katastrofa. Jak wspomina L.N. Szestakowa: „Gdzieś koło wsi Biełoruczy Kolę pojмали Niemcy. Bili go ciężko i długo, próbując dowiedzieć się, gdzie stacjonuje oddział. Kola nic nie powiedział. Zabrali go do Gródka Ostrożyckiego i znów pobili, próbując zdobyć nazwiska członków oddziału partyzanckiego. Kola jednak dalej milczał. Zabrali go, wyczerpanego i pobitego, na podwórze, zawiesili mu na szyi tabliczkę z napisem „Jestem bandytą”. Ręce związali mu drutem, do którego przyczepili dzwonek. Był to ten sam dzwonek, którym dzwonił kiedyś jako dyżurny w szkole, wzywając uczniów na lekcje. Tak Kolę oprowadzali Niemcy i policjanci po mieście. Dzwonek żałośnie dzwonił, gdy Kola padał po ciosie pięścią lub kopnięciu. Świadkowie mówili, że mieszkańcy miasta płakali na widok tortur małego partyzanta, a jego matka, oszalała z rozpacz, miotała się po podwórzu domu. Kola nie płakał ani nie prosił o litość; znosił wszystko spokojnie i z godnością.

Pobitego nastolatka zabrano do więzienia w Mińsku, potem zaś do obozu zagłady w Małym Trościeńcu. Nikołaj Borowski zmarł, nie zdradziwszy nikogo.

Źródła:

* Centrum Historyczne Leonida Lewina, Mińsk – elektroniczne archiwum relacji świadków.

<http://zeitzeugenarchiv.gwminsk.com/ru/archiv/wettbewerb-2017/borovskiy-nikolaj>

* Pamięć. Kronika historyczna obwodu mińskiego, Minsk, БелЭн [BelEn], 1998.

* O.I. Simonowa, Będziemy żyli, wydanie 2, Mińsk, Belarus, 1971.

* A.N. Stifutkin, T.N. Tit (z domu Stifutkina) [krewni N. Borowskiego], archiwum liceum w Trościeńcu.

* I K. Czurko, [nauczyciel gimnazjum w Gródku Ostrożyckim], Wspomnienia, archiwum Muzeum Chwały Wojennej w Gródku Ostrożyckim.

* L.N. Szestakowa, [nauczycielka gimnazjum w Gródku Ostrożyckim], Wspomnienia, archiwum Muzeum Chwały Wojennej w Gródku Ostrożyckim.



6 czerwca 1944 roku ośmiu członków podziemnego Komsomołu z Gródka Ostrożyckiego, kolega i koleżanki Koli Borowskiego (były to Nina Stosuj, Luba Wrubel, Tonia Stefanowicz, Luba Makejczik, Gala Prokofiewa, Wiera Chatkowska, Raja Swietłowa i Arkadij Kruczenok) zostało aresztowanych, zamordowanych i spalonych w obozie Mały Trościeniec razem z jednym z przywódców podziemia – ulubionym nauczycielem Koli, Kiryłem Iwanowiczem Szestakowem.

Po wojnie

Mieszkańcy Gródka Ostrożyckiego uczcili pamięć bohaterów podziemia, wznosząc pomnik w parku naprzeciw dawnej szkoły upamiętniający nauczycieli, uczniów i mieszkańców Gródka poległych i pomordowanych w II wojnie światowej.



1944

15
października,
godzina 24.00

Pracuję na nocną zmianę. Każdy członek rodziny ma obowiązek przez dwie godziny pełnić wartę na wypadek nalotu. Alarmów już nie ogłaszają i nie chcemy dać się zaskoczyć. Dziś rano znów był nalot. Obierałam ziemniaki w forcie nr 8 dla rannych w nalotach, gdy usłyszałam znajomy, straszny warkot silników, a zaraz potem odgłosy nalotu dywanowego. Drżeliśmy przez dwie godziny. Bombardowanie znów było bardzo silne. W forcie nie ma piwnicy, więc kuliliśmy się na korytarzu pod ścianą. Nie sposób myśleć, gdy to trwa – wszystkie uczucia są tak stłumione, że człowiek robi się wręcz obojętny na zagrożenie. Po każdym nalocie myśli się: „Tym razem się udało, ale jak długo starczy szczęścia?”. Nawet nie zastanawia się nad tym, co stanie się jutro; jutro może już nie będzie niczego. Po dzisiejszym nalocie pospieszyłam do domu na rowerze. Nasz dom ocalał, ale dookoła wszystko płonęło. Most Mühlheim zawałił się i leży w wodzie. Most Rodenkirchen był poważnie uszkodzony i niezdatny do użytku. Teraz znów leje deszcz. Jak teraz tym, którzy potracili domy? Nie, nie myślę o tym; jutro to możemy być my. Po obiedzie Dodo i ja jedziemy do fabryk w Frechen [miasto w Nadrenii Północnej – Westfalii]. Zawsze z nim jeżdżę, by nie wybierał się sam w tę niebezpieczną jazdę. Jestem jedyną, która może z nim jechać – nikt inny nie został, a poza tym właściwie sama jestem żołnierzem. Czasem czuję się jak żołnierz, gdy ze wszystkich stron strzelają, a ja jadę rowerem po chleb i jedzenie. Zaciskam zęby i myślę: „Dalej, Ursula, musisz to przetrwać. Żołnierze też nie rezygnują!”. Sześć miesięcy temu nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Oto warkot silników. Muszę zbudzić pozostałych.

26
października

Ledwie wyruszyłam z wózkiem pełnym ubrań, by splukać je przy pompie w Rodenkirchen [dzielnicy Kolonii], gdy musiałam wrócić z niczym. Zaczął się tak silny ostrzał, że zapomniałam o odwadze i po prostu pobiegłam do domu. Postawiono zasłonę dymną i słysząc samoloty.

W Kolonii ostatnio dzieją się straszne rzeczy. Mówi się o rabunkach, mordach i napadach. Na zewnątrz nie jest bezpiecznie. Nie mogę zrozumieć, jak ludzie potrafią wykorzystywać takie czasy na takie rzeczy.

Przez ostatnich kilka dni na froncie było strasznie cicho. Wczoraj dostaliśmy wieści od miejscowej komórki partyjnej, że mój kuzyn Karl-August jest na liście zaginionych. Był w Hertogenbosch [miasto w Holandii]. Ani słowa od Gunthera. Ani od moich braci. Tak jakby do Kolonii nie dostarczano już poczty. Ludzie wszędzie mówią o „mieście frontowym Kolonia”. Gdyby tylko samoloty zostawiły nas w spokoju. Nie sposób być po prostu sobą. Może to coś dobrego? Nie wiem.



**27
października**

2 i 13 października nadeszły dwa listy od Hansa. Dzięki Bogu jest zdrowy. Wszyscy bardzo się cieszymy i wszystko od razu zaczęło wyglądać o wiele lepiej. Mamy wszyscy nadzieję, że Kolonia najtrudniejsze chwile ma już za sobą.

Atakowanie Kolonii nie ma już sensu. Wszystko tu już zostało zniszczone. Transport nie działa, a w Wesseling [miasto w Północnej Nadrenii-Westfalii] nikt nie pracuje od trzech tygodni. Patrzymy teraz pewniej w przyszłość, znów mamy iskierkę nadziei. Oto codzienne czynności, z których teraz składa się moje życie: pójście po wodę, polowanie na chleb, obieranie ziemniaków w Forcie nr 8 – i siedzenie w piwnicy! Porzuciłam fabrykę i pracę. Po pierwsze, nie mam jak się tam teraz dostać, po drugie fabryka się spaliła, a po trzecie rodzice po prostu mnie nie puszcza.

Dziś usiadłam przy fortepianie i zaczęłam grać. Skupiałam się na grze przez dwie godziny. Czułam takie szczęście z powodu listów od Hansa, że chciałam to jakoś wyrazić. Grałam romanse z koncertu fortepianowego D-dur Mozarta.

A teraz jestem pełna sił i radości i idę po wodę!

4 listopada

Dopiero wróciłam z Bayenthal [dzielnica Kolonii]. Ponownie zupełna strata czasu. Nie było chleba, nie było mięsa, nie było warzyw, nie było wody – nie było niczego! Już od trzech dni próbuję zdobyć chleb: bezowocnie. Nie ma już sklepów. Pompa w Rodenkirchen została zbombardowana. Spędziłam wieki, szukając wody. Udałam się do Bayenthal, Zolstok [dzielnice Kolonii] – nigdzie nie ma wody. Jesteśmy strasznie brudni. Nie, że ktoś zwraca teraz na to uwagę. Wczoraj odkryłam nowe źródło wody w schronie „Tacyt”; można dostać tam raz dziennie wodę za kartki. Tak, woda stała się teraz dla nas cennym towarem. Czujemy się jednak nieco pewniej. Od dwóch dni nie było nalotów, a od dwóch nocy mogliśmy spokojnie spać. To bardzo dobrze nam zrobiło! Jesteśmy praktycznie jedynymi ludźmi mieszkającymi jeszcze przy Parkstrasse. Wszyscy nasi przyjaciele i sąsiedzi uciekli z Kolonii. Jest tu teraz naprawdę pusto. Są też ciągle alarmy i huk wystrzałów z frontu.

Usłyszeliśmy, że do Kolonii dostarczono ultimatum, które rzecz jasna odrzucono. Ach, gdybyż tylko je przyjęto! Wiem, że Niemka nie powinna tak myśleć, ale teraz czeka nas jeszcze więcej cierpienia. Kolonia zostanie jeszcze mocniej zrujnowana, i zginie tak wielu ludzi. Nie, nie! Jak dobrze byłoby, gdyby to się już skończyło!



Kolonia, 1944

27 listopada, wieczorem Właśnie dostaliśmy paczkę z ostatnimi rzeczami Klausa, datowaną 7 października. Mamy złe przecucia i myślimy, co to oznacza; przygotowujemy się na najgorsze. Gdybyśmy tylko wiedzieli więcej, co się z nim stało! Ta niewiedza jest trudna dla wszystkich.

21 grudnia, wieczorem Hans wrócił do domu! Trzy godziny temu. Dostał urlop do 10 stycznia, ponieważ od tak dawna nie miał od nas wieści, a Kolonia jest niemal w strefie frontowej. Co za nagłe szczęście! Jakie wspaniałe będziemy mieli święta!

Pierwszy dzień świąt Nigdy nie zapomnę wczorajszego dnia. Co za Wigilia! Spędziliśmy większość wieczoru w schronie. Oczywiście był kolejny nalot. Nasi wrogowie są zdolni do takiej złośliwości! Pomiędzy nalotami wybiegłam do piwnicy i włączyłam radio, znalazłam radio Kolonia, a tam, jak zawsze w Wigilię, emitowano koncert skrzypcowy Maksa Brucha. A potem „Cicha noc, święta noc...”. Przez otwarte drzwi docierał swąd spalenizny, na zewnątrz wybuchały bomby. Cicha noc i śmierć były tak blisko siebie. To było niesamowite.

Dziś jest bardzo zimno, samoloty jednak latały cały dzień. Ale cokolwiek by się nie działo, Hansel jest z nami na święta, i cała nasza czwórka jest szczęśliwa.

31 grudnia Siedzę w schronie. Schron i inne piwnice to praktycznie wszystko, co nam teraz zostało. Wczoraj nasz dom został zrównany bombami z ziemią. Wszystko zaczęło się o 21.00. To była najstraszniejsza rzecz na świecie. Bomby padały naprawdę blisko, schron się trząsał, ściany się kiwały, w powietrzu wisiała kolumna kurzu, a my musieliśmy oddychać przez mokre szmaty. Słyszeliśmy padające i wybuchające bomby zapalające. Hałas był piekielny i myśleliśmy, że nie wyjdziemy z tego żywi. Gdy hałas zaczął wreszcie cichnąć, usłyszeliśmy, jak coś spada z domu. Ojciec wybiegł na zewnątrz i zaczął krzyczeć, „Pali się! Pali się! Wszyscy na górę”. Drugie i trzecie piętro już ogarnęły płomienie. Zaczęła się prawdziwa bitwa o ocalenie schodów. Dodo porąbał siekierą drewnianą poręcz, a my jak szaleni wlekliśmy na górę z piwnicy stukilowe worki z piaskiem, i opróżnialiśmy je na schody. Potem woda – po prostu nie mogliśmy dopuścić, by ogień przedostał się na dół. Myśleliśmy, że betonowe stropy na dole opóźnią pożar. Cała nasza uwaga skupiała się na schodach. Przybyli z pomocą nieznajomi pomogli wypchnąć meble z pokoi. Ileż szczęścia mieliśmy! Nagle zapadł się sufit nad jadalnią – myliliśmy się, nasze stropy nie były betonowe! Ogień szalał wszędzie. Szybko wynieśliśmy nasze rzeczy na ulicę i do ogrodu. We czwórkę podnieśliśmy fortepian, by wynieść go przez okno. Wtedy wszystko się zawaliło. Przez chwilę zatrzymałam się w ogrodzie i po prostu patrzyłam. Taki smutek. Padał śnieg, ale dom się palił. Patrzyłam, jak ogień pochłania kawałek po kawałku mój ukochany dom. Byłam bliska płaczu, lecz za chwilę ogarnęła mnie wściekłość, i wszyscy pobiegliśmy do ogrodu w stronę Teschendorf po wodę ze zbiornika. Ratować jednak już nie było czego. Ogień pożarł wszystko. Teraz zaczęliśmy bitwę o piwnicę, i jeszcze nie skończyliśmy. Gdybyż tylko nam się to udało! Wszystkie nasze rzeczy są teraz na dole. Jeśli spłoną, będziemy nędzarami.



Gerda Altpeter (z domu Rappaport)

Urodzona w roku 1926 w Essen w Zagłębiu Ruhry, obecnie w Północnej Nadrenii-Westfalii w Niemczech.

Ojciec Gerdy, Philip Rappaport, był znanym też poza Niemcami inżynierem i urbanistą. Był dyrektorem Związku Gmin Górniczych w Zagłębiu Ruhry [zajmował się planowaniem i budową kopalń węgla w Zagłębiu]. Gerda i jej trzech starszych braci dorastali w dostatku.

W roku 1933 beztraskie życie rodziny gwałtownie się urwało. Mimo faktu, że Rappaportowie jeszcze w latach 80. XIX wieku przeszli na protestantyzm, narodowi socjaliści uważali go za Żyda wedle kryteriów swej rasowej ideologii. Oznaczało to, że dzieci Philipa były „*Mischlings* – mieszającami pierwszego stopnia”. Kilka miesięcy po objęciu władzy przez nazistów Philip stracił pracę.

Wspomnienia wojenne

Latem 1942 roku Gerda i jej najmłodszy brat Werner-Karl przestali chodzić do szkoły. Miała 16 lat, gdy zaczęły się wakacje, i wszystko wydawało się być w porządku. „Nagle okazało się, że uchwalono nowe prawa” – prawa zakazujące tak zwanym „mieszającom” chodzić do szkoły dłużej niż do siódmej klasy. Natychmiast po wakacjach Gerda została wezwana do wicedyrektora Gimnazjum Marii Wächtler. Tak jak dyrektor, był on oddanym nazistą, obaj jednak szanowali Gerdę, która dobrze się uczyła. „Bardzo mi przykro”, powiedział wicedyrektor. Ale czy jego wyrazy przykrości mogły zastąpić Gerdzie szkołę? „Dla mnie był to straszny cios. Próbowałam dalej uczyć się sama”. Musiała teraz jednak pracować w ramach obowiązkowej rocznej służby, przez co nie mogła skupić się na nauce [...]

Los Gerdy i jej rodziny pogarszały coraz częstsze i coraz bardziej intensywne naloty na przemysłowe Essen. Rappaportom nie wolno było kryć się w publicznych schronach, i podczas ciężkich bombardowań musiała wystarczyć im piwnica ich domu. Dzisiaj Gerda Altpeter rozumie, że nieustanne bombardowania, brak snu i nieustanne zagrożenie życia „wyczerpały ją zupełnie fizycznie i psychicznie”

Nie dostrzegła, że w tym samym czasie rozpoczęły się pierwsze deportacje z Nadrenii do obozów koncentracyjnych i obozów zagłady na wschodzie. Z czasem jednak zagrożenie stało się bardziej dojmujące, także dla jej rodziny. Od 1941 roku jej ojciec musiał nosić Gwiazdę Dawida. „Niemal nigdy nie wychodził, może tylko na modlitwę, kiedy to ukrywał ją pod kołnierzykiem” [...]

Rok obowiązkowej służby w Marl: „Byli ze mnie bardzo zadowoleni”

Po wyrzuceniu ze szkoły Gerda musiała odbyć swój tak zwany „rok obowiązkowej służby”. Proponowano jej pracę w okupowanej Polsce, ale odmówiła. Długo i mocno się zastanawiała, i postanowiła zdobyć pracę (zaoferowaną jej przez kościół ewangelicki w Essen) w rodzinie pastora z Marl [miasta w Północnej Nadrenii-Westfalii]: „Chciałam być blisko rodziny i robić coś naprawdę pożytecznego. Chciałam się czegoś nauczyć i jednocześnie pozostać w chrześcijańskim otoczeniu”.

Jej decyzja o wyjeździe do Marl okazała się słuszna. Gerda i jej gospodarze stali się bliskimi przyjaciółmi. Mąż, oficer, przebywał na froncie, a Gerda pomagała pastorowej i jej pięciorgu dzieci: „Byli ze mnie bardzo zadowoleni”. Gerda dostała własny pokój, dobrze jadła, a co dwa tygodnie mogła odwiedzać rodziców w Essen, nie tak odległym od Marl. [...]



‘Za dobre, by było prawdziwe’

Po ukończeniu roku obowiązkowej służby, 1 października 1943 roku Gerda otrzymała pracę w zakładach chemicznych Goldschmidt AG w Essen. Pracowała jako asystentka w laboratorium, uczestnicząc w eksperymentach nad uszlachetnianiem stali. Praca ta była „niezwykle interesująca”. Jednak w końcu 1943 roku jej wydział został ewakuowany z ciężko bombardowanego Essen do Villach w Austrii.

Gerda odmówiła propozycji wyjazdu do Austrii. Ze względu na prześladowanie jej rodziny wolała pozostać w znajomym miejscu ze znajomymi ludźmi. „Jeśli gdzieś będą kłopoty, to w Villach. Tam nikogo nie znasz. Nikt ci nie pomorze. Nie będziesz mogła na nikim polegać”.

Pozostała w Essen. [...] Tam w lipcu 1944 roku usłyszała o próbie zamachu na życie Hitlera i plotkach, że był on udany. „Od samego początku nie robiłam sobie wielkich nadziei. To było zbyt dobre, by było prawdziwe”. Po kilku godzinach oczekiwania przybyła wieść – Hitler żył i wojna miała trwać.

Wojenna praca ewangeliczna: „Na Boga, już jesteś w niebezpieczeństwie, czy naprawdę chcesz robić jeszcze to?”

Poza pracą, w roku 1944 Gerda nadal czynnie działała w kościele ewangelicznym. W ramach misji miejskiej, kierowanej przez pastorkę Annę Kaufmann, Gerda miała zbierać datki na duchowieństwo Kościoła Wyznającego. Chodziła w Essen od domu do domu, prosząc na pomoc dla dysydenckich duchownych wydalonych z regionalnego kościoła ewangelickiego, który kolaborował z reżimem. Było to niebezpieczne zadanie, jako że Gerda już i tak była prześladowana jako „żydowski mieszaniec”, a teraz jeszcze działała w imieniu chrześcijańskiej opozycji. Jej odpowiedź na pytanie: „Na Boga, już jesteś w niebezpieczeństwie: czy naprawdę chcesz robić jeszcze to” brzmiała „Tak, dlaczego nie?”

Wyjazd z misją miejską do Westerwald [gór w Nadrenii-Palatynacie] w lipcu 1944 dał Gerdzie chwilę wytchnienia od zamętu wojny. Były to „wakacje od wszystkiego”:

Od zagrożenia nalotami, od prześladowania za bycie „półżydówką”, i jej ryzykownej pracy dla Kościoła Wyznającego.

Jednakże wakacje nie były całkowicie beztrudne. Dziewczęta jechały do Westerwald osobno: grupa przyciągałaby uwagę. W górach czekały na nie nie tylko zabawa, gry i praca nad tekstami biblijnymi, ale także przygotowanie do nielegalnej pracy dla kościoła ewangelikalnego w Essen. Młodzież uczyła się budowania argumentacji i dyskusowania na rzecz kościoła.



Deportacja ojca: „był niedzielny poranek”

Pewnego niedzielnego poranka we wrześniu 1944 roku, gdy rodzina Rappaportów wybierała się do kościoła, zadzwonił telefon: „Tu gestapo. Przygotować się i przyjść”. Philip Rappaport i jego żona wyruszyli w niebezpieczną drogę. Gestapowiec dał Philipowi listę około setki osób, które miały zostać deportowane następnego dnia. Było tam też jego nazwisko. Miał powiadomić pozostałych i rano stawić się na dworcu. [...]

Philip Rappaport [...] przygotowywał się na nadchodzącą deportację. Rodzina rozumiała, że jego życie znalazło się w wielkim niebezpieczeństwie. Jednak najstarszy syn pomagał mu się pakować, mówiąc: „Chodź, spakujemy ci walizkę, to pomoże ci przetrwać”. W ten sposób próbował podnieść ojca na duchu. Był wrzesień i wciąż ciepło jak w lecie, jednak do walizki włożyli ciepłe ubrania na nadchodzącą zimę.

Nazajutrz Gerda z matką towarzyszyły Philipowi Rappaportowi na dworzec. Zebrało się tam już wiele osób, a gestapowcy i esesmani przydzielani ich do wagonów. Gerda musiała iść do pracy. Trudno było się pożegnać. „To mogło być pożegnanie na zawsze. Tak to postrzegaliśmy”.

Ucieczka przed deportacją: „Powinni byli mnie zabrać”

Pewnego dnia Gerda po przyjściu do pracy została z miejsca posłana do kadrowego. Ten ostro powiedział zaskoczonej dziewczynie: „Jesteś chora! Idź do lekarza”. Choć nie była chora, zrobiła, co polecił. Lekarz powiedział to samo: „Tak, jesteś chora”. Dał Gerdzie zaświadczenie o chorobie, której nazwy nigdy nie słyszała, i skierował ją do sanatorium. Dopiero wiele później Gerda dowiedziała się, co się stało. Jej lekarz często spędzał wieczory na picu z gestapowcami, od których dowiedział się, że Gerda jest w niebezpieczeństwie. Powiedział więc swemu przyjacielowi kadrowemu, który z kolei ostrzegł Gerdę.

Dzięki pomocy ich dwóch zdołała uniknąć deportacji, i wraz z matką wyruszyły do krewnych w Bad Salzuflen. Ponieważ jednak w czasie wojny pociągi źle kursowały, znalazły się w Hiddesen, u rodziny wuja.

Matka powróciła potem sama do Essen i dowiedziała się, że do domu przysłano nakaz deportacji dla Gerdy. Jednak gosposia niewiele myśląc odesłała nakaz z dopiskiem „wyjechała”. Gerda wróciła kilka tygodni później. Lekarz, który wcześniej ją ostrzegł, przysłał wieść, że niebezpieczeństwo minęło: centrala gestapo została zniszczona w nalocie, razem ze wszystkimi dokumentami. Deportacja już jej nie groziła.



[pisownia oryginalna]

Przybycie Rosjan do polskiej ziemi było i smutne, i wesołe. Dla niektórych Żydów, Ukraińców i Białorusinów było wesoło. A Polakom smutno i ciężko. Robili zebrania bolszewicy wszystkich gospodarzy i kazali uchwalić im podatek i pooddawać krowy, konie, świnie, kury, i wiele innych rzeczy po nadmiar kto miał 6 krow to 4 dla wojska a 2 dla gospodarza Kto się nie zgadzał i niechciał oddać to brali przymusem i gospodarza da aresztu lub zabijali. Dużo Polaków zostało skazanych na więzień. 10 lutego 1940 roku zaczęli wywozić ludności na pracę w nieznaną krainę.

Podróż była ciężka, z braku wody żywności, bo zbieranie trwało 15 minut więcej nie dawali a kto się wracał to bili kolbami i grozili śmiercią. Brać ze sobą można było tylko to co miał na sobie i 50 kg żywności wraz z pościelą i innymi rzeczami. W podróży nie dawali wychodzić z wagonów w których było ciemno brudno i smród bo przed nami wozili w tych wagonach bydło.

Co 3 dni dawali na człowieka 100 gram chleba i troszkę zupy i owsa. Chorób i trupów było dość z g braku opieki lekarskiej. Podróż trwała 2 tygodnie. Po przewiezieniu na Ural dali nam maleńkie mieszkania na 2 rodziny i pędzili do pracy od 13 lat do ciężkich robót ja do nakładania drzewa na ałta, rżnię torfu ręcznie.

Ojciec pracował w kopalni rudy i został pobity przez oderwanie się kamienia tak że wywieźli go z kopalni, poszed do lekaża i lekaze uznali że pobicie zostało lekkie po czym został ukarany 25% swojego zabku na 6 miesięcy, po 4 dniach zabrali ojca do szpitala i leżał 14 dni z tego pobicia, w głowę i w plecy.

Z żywnością było ciężko i trudno dostać. Na robotnika dawali 600 gram chleba a kto nie pracował 20 gram. Mąki na 5 dni robotnikowi 500 gram owsianki 500 gram tłuszczu i 100 gram, a kto nie pracował to nic.

Na rynek nie dali nikomu z Polaków chodzić a jak złapią kogoś to odrazu do aresztu. Ja byłem ukarany 7 dniowym aresztem za to że kupowałem na rynku kapustę, kartofle i 1 kilogram chleba. Pracowałem na rżnięciu torfu. Zarobki były niskie od 100 do 200 rubli miesięcznie. Do Polaków ze wstrętnymi słowami dlatego że są polakami i katolikami. Mówili że Polskę i kościoły zobaczycie tak jak ja swoje ucho bez lusterka, kpili sobie i przeklinali jak mogli polaków i religię. Listów i paczek z Polski nie dopuszczali i jak mogli tak się znęcali nad nami. Po amnestii już taki jak poprzedni nie znęcali się, tylko pieniędzy zarobionych nie chcieli wypłacić. W 1942 roku jechaliśmy bliżej granicy perskiej, tymczasem skręcili zupełnie w inną stronę do Jużnokazachstanu na pracę w kołchozach z braku kołchoźników. Tam dali nam lepiankę bez pieca, drzwi i okien. Życie tam było trudne i ciężkie, chcąc przywieźć trochę słomy na pościel i palenie, nie chcieli dać koni tylko trzabyło nosić na plecach z odległości 2 km. Po miesiącu zachorowaliśmy na tyfus brzuszny. Leżeliśmy w tej lepiance choży bez żadnej opieki lekarskiej i Ludzkiej, gdzie nas okradli podczas choroby, nikt się nie troszczył o nast bo porozsyłali nad od krewnych i znajomych o kilkanaście kilometrów. Sąsiedzi (Kazachi) nie chcieli nam w niczym pomagać tylko jedna była taka która przyniosła nam wody i słomy do palenia, a więcej nikt.

Po 16 dniach choroby musiałem wstać pomimo choroby i zmęczeń i musiałem pójść do pracy, byłem nastarszym w rodzinie. Ojciec i matka byli bardzo choży 2 miesiące więc musiałem ciężko pracować na życie i odzież. W kołchozie pracowałem 12 godzin bez obiatu i po pracy w domu reperacją obówia chcąc zarobić kawałek chleba i ubranie, bo chodziliśmy obdarci jak dziady. Zarabiałem miesięcznie 20 kg mąki, 2 kg mięsa, 50 deka cukru i 1 kg soli. Jak była to dali a jak nie to nie, a mydła nic.



Moje przeżycia z czasu wielkiej wojny począwszy od 1 września 1939 r. do dzisiaj, tj. 8 czerwca 1946 r.

Kiedy wybuchła wojna między Polską a Niemcami, mieszkaliśmy za Bugiem, w Sokalu. Z rozpoczęciem wojny zaczęły się bombardowania. Z zachodu na wschód ciągnęły się tłumy uciekinierów, od których dowiedzieliśmy się, że Niemcy, następując, zabierali mężczyzn. Toteż Tatuś wywiózł nas na wieś, a sam ruszył na wschód, w ślad za innymi, z myślą, że zaciągnie się w mające powstać szeregi polskie.

Po kilkutygodniowym pobycie na wsi powróciliśmy do miasta, które zostało zajęte przez Sowieców. Mamusia, widząc, co się dzieje, była bardzo zmartwiona o Tatusia. I taka zmartwiona wyszła, a w czasie Jej nieobecności przyszedł oczekiwany przez nas Tatuś. Miał nogi popuchnięte oraz był zmęczony i zdęgotowany. Zaraz też nadeszła Mamusia. Po długim i serdecznym przywitaniu Tatuś zaczął opowiadać o swych przeżyciach, które przenikały nas trwogą.

Po kilkudniowym wypoczynku Tatuś zmienił fach i stawiał się do pracy, za którą wynagradzano [Go] skąpo. Toteż w domu była bieda, były tylko placki z grysu i czarna kawa z sacharyną.

Kiedy nadszedł czas zimy, poczęto wywozić na Sybir, do czego i my byliśmy przygotowani, śpiąc w ubraniach dziennych oraz nasłuchując najmniejszy podejrzaný ruch. Na takich obawach przeminął rok.

Drugi natomiast zwiastował nową wojnę – między Sowiecami i Niemcami. Wybuchła ona 22 czerwca 1941 r. Nad ranem o godz. 2.00 padł pierwszy pocisk zza Buga, no i rozpoczęła się wojna. My zaś, obudzwszy się, schronili[śmy się] w przedpokoju. Ponieważ drzwi w nim były odchylone, widzieliśmy palące się wokół domy sąsiednie i drzewa w naszym ogrodzie. A słychać było przerażający trzask i szum. Taki kocioł trwał godzinę. Po przejściu pierwszego ognia przemknęliśmy do piwnicy. Kiedy front był za nami, a Niemcy zajęli się miastem, u nas nadal była bieda, chociaż Tatuś pracował.

Pewnego razu Tatuś poszedł na wieś, z której powrócił dość późno tak zdenerwowany, że nie mógł słowa przemówić. Aż po chwili, ochłonawszy, opowiadał, jak Ukraińcy prowadzili Go do piwnicy, lecz na szczęście nadszedł Niemiec. Stwierdziwszy, że to, o co Tatusia posądzali, było nieprawdą i niemożliwością, dał Ukraińcowi „w mordę”, a Tatusia puścił.

Po jakimś czasie wyjechaliśmy do Kamionki Strumiłowej, gdzie polepszył się nam byt. W Kamionce byliśmy dwa lata, w tym czasie przyszła do nas straszliwa wiadomość o zamordowaniu stryjecznego brata Tatusia.



Następnie z obawy co do Ukraińców wyjechaliśmy do Lwowa. Był to czas przedświąteczny. Nadszedł drugi dzień świąt Wielkanocnych, w który poszliśmy do cioci. Po powrocie do domu przed wieczorem przygotowywaliśmy się do spania. Wieczorem niektórzy już spali, a ja z Mamusią siedziałam w kuchni, gdy naraz ogłuszył nas wybuch. Zaraz też wszyscy schroniliśmy się w piwnicy, bo rozpoczęło się bombardowanie, które trwało całą noc.

Od tego czasu bombardowania były co noc, a dla nas skończyły się 13 maja, bo wyjechaliśmy ze Lwowa do Łańcuta, który w sześć miesięcy po naszym przybyciu został opuszczony przez Niemców. Atak sowiecki był lekki. Bitwa trwała jedną noc.

Znowu była u nas bieda. Wyjechaliśmy do Chełma, gdzie również, jak i w Łańcucie, była bieda, a w dodatku mieszkaliśmy w suterynie. Tak przebiedowaliśmy miesiąc. Następnie przenieśliśmy się do Hrubieszowa. Tu przyjechała Babcia ze straszną wiadomością, a mianowicie, że Dziadzio został aresztowany we Lwowie i wywieziony do Donbasu. Wreszcie nadeszła chwila radosna. Dziadzio wrócił po roku. W tymże samym roku w Hrubieszowie było kilka pożarów i ostatnio napad.



Klaus Schlimm

Urodzony 16 lipca 1929 roku w Magdeburgu,
następnie przeniósł się do Essen w Niemczech

W roku 1938 rodzina Schlimmów przeprowadziła się do Essen, a ojciec Klaus Reinhold zaczął pracować w Zagłębiu Ruhry jako agent promujący ogniotrwałe materiały budowlane. Ponieważ pracował głównie dla firm zbrojeniowych, został w końcu zmuszony do zapisania się do partii, wbrew swym przekonaniom.

Jako dziecko Klaus nie znał osobiście żadnego Żyda. Później wspominał widok sklepu w Essen z powybijanymi szybami. Był 9 listopada 1938 roku, a właścicielami sklepu byli Żydzi noszący nazwisko Rosenbaum. W domu powiedział ojcu: „Mogłem przynieść Ci żelazko”. Ojciec błagał go, by nigdy nie brał udziału w takich poczynaniach.

Wybuch wojny

Od dziesiątego roku życia Klaus przygotowywał się do wojny. Uczestniczył w ćwiczeniach przeciwlotniczych i uczył się, co robić na wypadek pożaru.

1 września 1939 roku Klaus był ze swym wujem w Hunsrück, coś świętowali. Dla Klaus a przejście z pokoju do wojny było bardzo gwałtowne. Hitler kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa. Chłopiec początkowo przejmował się wojną. W swoim pokoju rozwiesił dużą mapę i każde zwycięstwo oznaczał flagą, by ujrzeć terytoria podbite przez jego kraj. Cieszył się, że coraz więcej terenów staje się „ziemią Rzeszy”. Rasistowskie słownictwo niemieckiej propagandy wpływało na Klaus a i zaczął go używać.

Mimo że walki toczyły się daleko, wojna szybko i wyraźnie dała się odczuć w codziennym życiu Essen. Wszędzie było zaciemnienie. Wieczorami nie włączano latarni, a lampy samochodów i motocykli były zasłaniane; pozostawiano tylko wąski pas. Prowadzono ścisłe kontrole tego, czy wszystkie okna były odpowiednio zaciemnione. Jeśli tak nie było, strażnik przeciwlotniczy krzychał: „Zgasić to światło!”.

Pierwsze bomby spadły na Essen już w 1940 roku, jednak Klaus Schlimm ledwie je zauważył. Choć słyszał syreny i widział po nalocie łunę nad centrum miasta, naloty bombowe były czymś, co początkowo nie dotknęło go bezpośrednio. Mieszkańcy Essen często wychodzili obserwować, co dzieje się na niebie. Klaus opisał huk eksplozji „niczym podczas burzy”. Nie rozumiał, że właśnie ginęli ludzie. Gdy bomba trafiła w szkołę, uczniowie wiwatowali: „Hurra! Szkoła się pali!”.

Rodzina Schlimmów musiała znieść wiele trudnych godzin, mieli jednak szczęście, że nie doświadczyli szkód fizycznych ani materialnych, choć wielu ich sąsiadów zostało zbombardowanych. Gdy dotknęło to jednego z jego kolegów ze szkoły, Klaus zapytał go: „Co robić, jeśli to samo stanie się z nami”? Kolega dał mu użyteczne rady co do zachowania „na wypadek, gdyby was zbombardowali”.

„Z czasem ludzie wyrobili sobie rodzaj stoickiej postawy”, wspominał Klaus. „Nawet ci, którzy zostali ranni od wybuchów lub stracili domy”. Samemu Klausowi jednakże zostało to oszczędzone. Tylko niekiedy śniło mu się, że ktoś znosi go do piwnicy; rano budził się zaskoczony, że rzeczywiście w niej jest.



Ewakuacja dzieci z miasta

Gdy naloty na Essen przybrały na intensywności, rozpoczęła się ewakuacja dzieci z miasta.

Wiosną 1943 roku Klaus i jego brat Henning spakowali swe walizki przed ewakuacją. „Strasznie płakałem”, wspominał Klaus pożegnanie na peronie. „To było prawdziwe wojenne pożegnanie i byłem bardzo zasmucony”. Gdy jednak dzieci w przedziale zaczęły śpiewać, uspokoił się.

Jechali do miasta Poděbrady w Czechach, gdzie Klausowi z miejsca spodobała się miejscowa architektura. „Mieszkaliśmy w obozie o nazwie >>Biały Krzyż<< w skonfiskowanym hotelu. Było tam wiele innych klas. Kilka, jeśli nie kilkanaście tysięcy dzieci”. Niekiedy było ich tak wiele, że na ulicach nie widać było mieszkańców.

„Czuliśmy dziwne oderwanie”. Klaus z kolegą chodzili na wielokilometrowe spacerunki wokół Poděbrad, podziwiając widoki. Chłopcy nie czuli niebezpieczeństwa i chodzili beztrudno, co chwila wpadając na miejscowych, którzy nie radowali się z ich pobytu.

Jedzenie było bardzo dobre. Hotel obsługiwali Czesi i oczywiście kuchnia była czeska. „Szkoła znajdowała się w bardzo nowoczesnym budynku szkolnym, który Czechom kazano opuścić”. Klaus Schlimm nigdy nie dowiedział się, dokąd musieli chodzić miejscowi uczniowie. Gdy tam przebywał, w budynku uczyli się wyłącznie uczniowie niemieccy. Wspomina, że podczas lekcji panował mocny rygor, choć nie uczono już religii ani biologii.

Atmosfera w Poděbradach była generalnie niezła, ale chłopcy mieli dość ewakuacji, gdy stało się jasne, że nie skończy się na obiecanych im trzech miesiącach. Musieli pozostać. Pobyt w obcym kraju z dala od rodzinnego domu był wciąż na nowo przedłużany.

Gdy wojna zbliżała się do końca, Klaus znalazł się w obozie wojskowym w lesie Bregenz w Austrii. Komendant obozu, „następny partyjny, ranny na froncie”, powiedział chłopcom, że załatwił u miejscowych rolników i przedsiębiorców, by u nich zamieszkali. Gdy nazajutrz rozeszli się w swoje strony, Klaus z dwoma innymi chłopcami dotarli do miejscowego tartaku. „Ale ledwie dwa dni po przybyciu obszar zajęły wojska francuskie”. Piętnastoletni Klaus i jego koledzy przeszli okupację spokojnie i w większości bez strachu. Mieli dobre nastroje, patrząc na zwycięskie oddziały zajmujące teren bez wystrzału czy wrogości. Żaden z chłopców nie miał pojęcia, jaka będzie przyszłość. „Było bardzo spokojnie. Pogoda była dobra, świeciło słońce, jedzenia nie brakowało”. Choć na początku chłopcy musieli dwa tygodnie żywić się wyłącznie chlebem. Gdy jednak 8 maja, w dzień kapitulacji Niemiec, tartak został zamknięty, chłopcom powiedziano: „Nie mamy dla was pracy”. Cała trójka ruszyła w góry ku Lechtal. Klaus pozostał w Lechu jeszcze trzy miesiące, wiosnę zaś spędził na miejscowym górskim gospodarstwie.

W lipcu 1945 roku Klaus ruszył nareszcie w drogę do domu. Podróż była długa i trudna; musiał często przesiadać się między pociągami towarowymi. 1 sierpnia 1945 roku, po sześciu dniach, Klaus dotarł bezpiecznie do Essen.

